

Nasze nowe pole bitwy



MARCIN ZAREMBA
Instytut Studiów Politycznych
Polska Akademia Nauk, Warszawa
mzar@isppan.waw.pl

- Historyk powinien starać się zrozumieć przeszłość i zinterpretować ją tak, żeby nie tylko „dało się” to przeczytać, ale było jeszcze dobrze „podane”. Ja bym mu żadnej innej misji nie wyznaczał. A już broń Boże politycznej – mówi dr Marcin Zaremba

Academia: Historia. Pisze się ją czy opisuje?

Marcin Zaremba: Nie widzę sprzeczności. W Wielkiej Brytanii książki historyczne są postrzegane jako literatura. Przypomnijmy, że Winston Churchill dostał literacką Nagrodę Nobla w 1953 roku za swoje wspomnienia. U nas wzorem historiografii niemieckiej historycy publikują nudnawe, męczące dysertacje raczej z myślą o kolegach po fachu, którzy to będą oceniać, niż czytelnikach. Tymczasem historia powinna być dobrze „podana”.

Pisanie zakłada jednak tworzenie czegoś na nowo, opisuje się to, co się wydarzyło. Nie ma tu sprzeczności?

Może odpowiem inaczej. Jestem zwolennikiem historii rozumiejącej, która ma wyjaśnić zjawiska i zachowania społeczne. Zajmuję się teraz genezą rewolucji „Solidarności”, bo wydaje mi się, że trzeba się zastanowić, dlaczego doszło do rewolucji w Polsce, i postawić pytanie ogólne: dlaczego rewolucje wybuchają. Wkład historyka polega na tym, że stara się zrozumieć zachowania ludzi, procesy społeczne, spojrzeć na daną sytuację z różnych punktów widzenia: socjologicznego, psychologicznego, ekonomicznego, militarne-go. Im więcej perspektyw, tym pełniejszy obraz. Opisywanie historii w takim znaczeniu, jak pani mówi, a raczej opisywactwo, wydaje mi się mało płodne. Informacja o tym, że jeden oddział prze-

szedł ze wzgórza 579 na wzgórze 580, tracąc trzech żołnierzy, niczego czytelnikowi nie daje. Historyk powinien odpowiadać na jakieś ważne pytania.

Doszliśmy w ten sposób do roli historyka. Bez niego nie wiedzielibyśmy, co z historycznych faktów właściwie wynika. Tyle że jego udział otwiera też przestrzeń do manipulacji.

Ależ tak samo jest z dziennikarzem. Pełni on służebną funkcję wobec opinii publicznej. Ma tłumaczyć rzeczywistość społeczną, gospodarczą, prawną czy sportową. Ma dotrzeć do informacji i przekazać je w sposób zrozumiały dla każdego. Oczekujemy od niego, że będzie obiektywny. A jeśli obiektywny nie jest, ma nam wyraźnie powiedzieć: to jest moja opinia. I wtedy jest uczciwie. Myślę, że podobnie jest z historią. Między źródłami, zakurzonymi papierami a czytelnikiem stoi historyk, od którego oczekuje się jakiegoś wkładu intelektualnego. Tego, że kiedy już po wielu godzinach w archiwach zbierze informacje i wyprodukuje artykuł czy książkę, wyjaśni, co się wydarzyło, dlaczego, jakie mechanizmy zadziały. Z tego czytelnik może wyciągnąć jakąś naukę. Jednak nie uważam, że historia musi być nauczycielką życia. Nie o to chodzi.

Prof. Marcin Kula w wywiadzie dla „Academii” powiedział: „Historyk nie ma spełniać misji oświecenia publiczności, ale powinien wskazywać elementy, które służą zrozumieniu sytuacji”. Rozumiem, że podpisuje się pan pod tym zdaniem?

Tak. Historyk powinien starać się zrozumieć przeszłość i zinterpretować ją tak, żeby dało się to przeczytać. Ja bym mu żadnej innej misji nie wyznaczał. A już broń Boże politycznej.

Ale historia, szczególnie w ostatnim czasie, jest w Polsce wykorzystywana politycznie.

Zawsze była wykorzystywana politycznie i nie odnosi się to tylko do naszego kraju. Od czasu Swetoniusza czy innych historyków rzymskich historia była traktowana instrumentalnie. Zawsze byli historycy nadworni, których zadaniem było przedstawienie rzeczywistości historycznej



Krzysztof Ostrowski

korzystne dla władzy. Taka była rola Galla Anonima, kiedy dostał zadanie napisania kroniki Piastów. I nadal co jakiś czas, zwłaszcza w bardziej autorytarnych systemach, historyków się wzywa, by zinterpretowali coś „po myśli”. Ale od czasu pojawienia się historiografii akademickiej, traktującej historię jako naukę, nacisk na historyków, żeby pisali „słusznie”, zmalął. Wielu naukowców w ogóle się tym nie przejmuje, co najwyżej się z tego śmieją. Bez wątplenia jednak od roku 2000 przeżywamy nową falę zainteresowania historią. Mało tego: stała się ona nowym polem bitwy.

Jakie są tego przyczyny?

W 2000 roku wyszła ważna książka: „Sąsiedzi” Jana Tomasza Grossa. Dowiedzieliśmy się z niej, że nie byliśmy święci, że Polacy robili rzeczy straszne. To był szok. Czuliśmy się przecież tacy dumni z własnej historii. Zawsze się biliśmy „za waszą i naszą wolność”. Żyliśmy się z własnym romantycznym wizerunkiem ciemieżonych, szlachetnych ofiar. A tu się okazało, że było inaczej. Dalsze badania takich historyków jak Barbara Engelking, Dariusz Libionka czy Jan Grabowski postawiły pytanie, czy przypadkiem w czasie okupacji na terenach Generalnego Gubernatorstwa nie zabiliśmy i nie zadenuncjowaliśmy więcej Żydów, niż zabiliśmy Niemców. W powstaniu warszawskim zginęło 2500 Niemców, a samych zadenuncjowanych w czasie okupacji Żydów mogło być nawet kilkanaście tysięcy.

To wszystko wymagało dyskusji. Wywołało opór i potrzebę riposty. Wtedy zaczęły powstawać nowe pisma historyczne. Prawica musiała znaleźć własną

odповідź na tę narrację, własny opis przeszłości, polski, cierpiętniczy. W tym kontekście pojawili się żołnierze wyklęci, w pewnym momencie pojawił się – na co warto zwrócić uwagę – pomysł lustracyjny, czyli zagłądanie ludziom do teczek i pokazywanie, jaka straszna była ich przeszłość. I że korzenie III Rzeczypospolitej tkwią być może w kazamatach PRL.

Kolejny powód wzmoczenia historycznego to katastrofa smoleńska. Powrót do starych mitów, rytuałów, obchodzenia żałoby narodowej. Pojawił się watek nowego „Katynia”, polskich elit, które ginęły teraz i wcześniej.

W końcu, jeśli popatrzy się na opowieść partii pravicowych o przeszłości, to w niej nie ma bohaterów. Oni się pokłócili z Lechem Wałęsą, z większością przywódców okresu rewolucji Solidarności i opozycji lat 80. Historia opozycji w Polsce, czy nam się to podoba, czy nie, jest siłą rzeczy rewizjonistyczno-liberalno-lewicowa. Bo są w niej bohaterami i Adam Michnik, i Jacek Kuroń, i Bogdan Borusewicz. W związku z czym potrzeba było odwołania do przeszłości, jakiegoś bohatera, jakiegoś zakorzenienia. To wzmagało poszukiwania legitymacji w historii.

To, co Pan mówi, utwierdza mnie w przekonaniu, że historia jest jak plastelina, którą można dla swoich celów odpowiednio formować. A gdzie jest prawda?

To właśnie zadanie dla historyka; zbliżyć się do niej.

Ale jak zwykły człowiek, który nie jest historykiem, może się w tym wszystkim połączyć?

„W rekonstrukcjach historycznych chodzi o budowanie wspólnoty. Ludzie, którzy w niej uczestniczą, tworzą grupy, spotykają się, zdobywają wiedzę i mają naprawdę olbrzymie kompetencje. Ale co to tym, którzy oglądają rekonstrukcje, mówi o historii? Myślę, że nic”.

O użyteczności przeszłości

Historia nie jest łatwa, pojawia się w niej wiele czynników, motywów, interpretacji. Wyjaśnienie tego wszystkiego jest tym bardziej trudne, że przecież nie znamy wszystkich dokumentów, świadectw, nie możemy się cofnąć w czasie. Im starsza historia, tym dystans do prawdy będzie większy. Im zaś ta historia jest bliższa, im więcej mamy różnych relacji, źródeł – dystans się zmniejsza. Ale ma pani rację, zagubienie czytelnika tekstów historycznych może być wielkie, gdy czyta w jednej ga-



Jakub Ostrowski

Na zdjęciu na s. 23: rekonstrukcja bitwy pod Łomiankami w 1939 roku.

Powyżej: inscenizacja bitwy warszawskiej 1920 roku w Ossowie

zecie, że powstanie warszawskie było wielkim zwycięstwem moralnym, a w drugiej gazecie, że klęską i niewybaczalnym błędem.

A jaką funkcję w formowaniu wiedzy o historii pełnią tak ostatnio modne wszelkiego rodzaju rekonstrukcje historyczne?

Nie „wszelkiego rodzaju”. Widziała pani takie rekonstrukcje, gdzie byłaby włóknianka przy maszynie w Łodzi?

Nie.

A może jakiś Żyd z XVII wieku, który coś sprzedaje w kramie?

Nie, one właściwie wyłącznie pokazują walki.

Tak, to 95%! Cóż, można powiedzieć, że niektórzy poszukują emocji i nie wstydzą się tego. To jest może złośliwa interpretacja, zostawię ją bez komentarza. Wskazałbym za to na interpretację socjologiczną: w rekonstrukcjach historycznych chodzi o budowanie wspólnoty. Ludzie, którzy w niej uczestniczą, tworzą grupy, spotykają

się, zdobywają wiedzę i mają naprawdę olbrzymie kompetencje. Ale co to tym, którzy oglądają rekonstrukcje, mówi o historii? Myślę, że nic.

W 2010 roku odbyła się rekonstrukcja likwidacji getta w Będzinie. Po co pana zdaniem została zorganizowana? Dla uczestnictwa i identyfikacji, które miałyby coś zmienić w postrzeganiu okupacyjnej historii Żydów?

Z badań wynika, że polskie społeczeństwo relatywnie dużo wie o Holocauście. Fakt, że robi się taką rekonstrukcję, należałoby docenić. Z drugiej strony jest jednak coś, co nazwałbym tajemnicą śmierci. Jej odkrywanie budzi estetyczny niesmak. Lepiej, żebyśmy przeczytali wiersz Herberta albo obejrżeli dzieło artystyczne w postaci filmu, a nie rekonstrukcję.

Wróćmy do książki Grossa. Przywoływał pan w jej kontekście za Joanną Tokarską-Bakir sformułowanie „obsesja niewinności”. Dlaczego ją mamy?

Nie tylko my ją mamy. Myślę, że także Francuzi czy Brytyjczycy. W przypadku Polski zwróciłbym jednak uwagę na siłę tej obsesji wynikającą z kodu romantycznego. Romantyzm mówił nam, że oczywiście mamy swoje grzechy i bolączki, ale jednak jesteśmy Chrystusem narodów, że nieśliśmy w XIX wieku sztandar wolności (zapominając o pańszczyźnie chłopów), w czasie II wojny światowej byliśmy krajem bez Quislinga. Ta interpretacja, bardzo silna w okresie PRL, utkwiała nam w głowach. Jesteśmy przekonani, że nigdy nikogo nie zdradziliśmy, nie kolaborowaliśmy – tylko walczyliśmy. To nie jest prawda, bo w podziemiu działało maksimum 3% społeczeństwa polskiego. Reszta chciała przetrwać i przeżyć, co, niestety, często się nie udawało. I jeszcze był okres PRL, kiedy przeszłość była pokazywana w sposób taki, który miał legitymizować komunizm. Istnienie białych plam i nieotwieranie archiwów. Brak kontaktów i wymiany intelektualnej z innymi.

Nic dziwnego, że nie rozumieliśmy Żydów mówiących nam, że Polska im się kojarzy tylko z grobem i z cierpieniem. Odpowiadaliśmy: „Jesteśmy niewinni, za Jedwabne odpowiadają jacyś »inni«, albo margines społeczny”. Ale historyk powinien używać „szkiełka i oka”. I to jest chyba najważniejszy postulat badawczy: nie możemy stawiać się w pozycji obrońców dobrego imienia Polaków, bo historia ma być jednak nauką, a nie ideologią czy propagandą. ■

Rozmawiała Katarzyna Czarnecka